

GLOBALIZACJA WŁADZY

•

Oto mamy nowe tysiąclecie, dwunaste od początków osadnictwa, szóste w dziejach cywilizacji i pierwsze, w którym większość żyjących ludzi tworzy jedną Ludzkość. Przez całą dotychczasową historię, nieustannie rozwijały się sposoby łączności, organizacji i władania społeczeństwem, pozwalające spajać i kontrolować coraz większe grupy ludzi: od rodzin, przez klany, plemiona, narody, aż po wielkie wspólnoty kulturowe czy terytorialne. Teraz pojedyncze ośrodki władzy osiągają już w pewnych zakresach zasięg globalny, co zapowiada koniec ekstensywnego wzrostu. Rozwój technik manipulacji człowiekiem też dochodzi do jakiegoś kresu, skoro można dziś go zamknąć w sztucznym środowisku i poprzez nie kontrolować całość jego zachowań. To z kolei oznaczałoby koniec wzrostu intensywnego.

Dalszy rozwój władz – i na poziomie Ludzkości, i na poziomie jednostki – musi przyjąć nowe formy. Najbliższe pokolenia doświadczą chyba największych przemian w dziejach cywilizacji, w jednych aspektach zapewne futurystycznych, jak cyborgizacja ludzi albo władza maszyn, w innych może powracających do rozwiązań, które wydawały się już przebrzmiałe, jak stany, kasty czy monarchie.

. I .

WŁADZE

Piramida władzy

Kiedyś, żeby wywrzeć wpływ na drugiego człowieka, zmienić jego sytuację, czegoś mu

zabronić czy do czegoś zmusić, zabić, zranić, złupić, zastraszyć, przekupić, słowem: aby mieć nad nim władzę – trzeba było się do niego zbliżyć. Niekoniecznie osobiście, zawsze można było posłać zbirów, złodziei, urzędników, kaznodziejów czy agitatorów... ale wtedy pojawiał się problem władzy nad wysłannikami.

Pojedynczy człowiek mógł bezpośrednio panować nad nielicznymi podwładnymi, ci też podlegali podobnym ograniczeniom co do liczby dalszych podporządkowanych, dlatego objęcie jednolitą władzą większej grupy ludzi wymagało systemu wieloszczeblowego. Zorganizowane społeczeństwa układały się zatem w całe piramidy podległości oraz zależności, hierarchizujące ludzi w wielopiętrowy układ dominacji, wpływu i wycisku. Inaczej mówiąc – porządek społeczny.

Głowa rodziny, głowa rodu, klanu, potem plemienia, wreszcie starsi ludu i narodu – oni tworzyli porządek genetyczny. Pan domu, gospodarstwa, osady, potem miejscowości, w końcu władca zamku i najbliższych fortec – ci się układali w porządek terytorialny. Mnich, kapłan, nauczyciel, rabin, opat, biskup – hierarchizowali się w różne porządki autorytetu duchowego. Straganiarz, kupiec, karawaniarz, lichwiarz, bankier – ci tworzyli porządek obiegu towarów oraz pieniędzy.

Te różne porządki miały się z założenia pokrywać w systemach totalitarnych, w praktyce to się jednak nie zdarzało, i różne hierarchie działały odrębnie, wzajem i zmiennie na siebie oddziałując. Uczestnictwo jednostki w każdym z porządków było zawsze mniej lub bardziej zdeterminowane, ale ani pełna przymusowość, ani całkowita dobrowolność nie sprzyjały stabilności i były raczej wyjątkiem.

Systemy zbyt wypiętrzone musiały tracić spójność. Gdy między najmniejszym pacholkiem a największym wielmożą stawało zbyt wielu pośredników, cały ten łańcuch stawał się wiotki i nieodporny na zerwanie, choćby w wyniku korupcji, zdrady czy secesji. Równocześnie, maleć musiała wydajność, bo po przekroczeniu pewnej liczby pięter, koszt utrzymania hierarchii przerastał korzyści, jakie mogła ona przenosić pomiędzy dołami a górą, tak że całość profitów zaczynała konsumować środkowe szczeble.

Podobne dysfunkcje trapiły systemy zbyt rozległe. Gdy jeden nadzorca musiał pilnować zbyt wielkiego rewiru, jego nadzór stawał się nieskuteczny, i pewna część poddanych umykała jego władzy. Można wtedy było wzmocnić nadzorcę, dodając mu podwładnych, i tym samym lokalnie wypiętrzając hierarchię, ze skutkami opisanymi wcześniej. Można było – odwrotnie – osłabić go, dzieląc jego rewir na kilka części i osadzając go na jednej z nich, lecz to tylko przenosiło problem rozległości wzwyż hierarchii. W ostateczności, trzeba było zmniejszać bazę zbyt już wielkiej piramidy, rezygnując z panowania nad częścią poddanych, poprzez ich łaskawe wyzwolenie albo proste porzucenie.

Wielkość piramidy określała liczba pięter oraz ich rozmiary. Dopóki te liczby były ograniczone, cała piramida władzy miała ograniczoną powierzchnię podstawy, inaczej mówiąc – lud. Na każdym polu władzy, współistniało wtedy wiele sąsiadujących piramid: wiele państw, wiele plemion, wiele gospodarek i pieniędzy, wiele kultur oraz wyznań. Te zbyt małe, jeśli nie rosły lub nie łączyły się z innymi, to w końcu ginęły, te zbyt wielkie kurczyły się albo rozpadały. Całkowita ich liczba wyznaczona była przez optymalną wielkość systemu oraz osiągalne środowisko, którym ten się żywił. To pierwsze wyznaczał sposób organizacji, to drugie liczba dostępnych poddanych.

Formy władzy

Świat władz jest różnorodny i dynamiczny. Ludzie przemieszczają się między strukturami władzy oraz wewnątrz nich, same struktury też nie są wieczne, rodzą się i giną, łączą oraz dzielą, wciąż zmieniają kształty, przenikają się jedne z drugimi, kooperują i konkurują, wzajem się wykorzystując, ale też uzupełniając.

Różne władze lokują się w rozmaitych przestrzeniach: państwa wiążą się z terytoriami, kościoły z wiernymi, media z językami, dystrybutorzy z konsumentami, pieniądze z rynkami. Wszystko to kieruje się tak czy owak do ludzi, z których każdy jest zarazem mieszkańcem lub obywatelem, wyznawcą jakiejś religii czy światopoglądu, przynależy do jakiejś kultury, tradycji, języka, jest pracownikiem, konsumentem, rodzicem, dzieckiem, krewnym, kolegą, współnikiem, dłużnikiem i wierzycielem.

Pojedynczy człowiek uczestniczy równocześnie i w zmienny sposób w wielu piramidach władzy, o różnych rodzajach, centrach i zasięgach, zajmując w nich rozmaite pozycje. Ta zmienność skłania niektórych badaczy do zarzucenia pojęcia piramidy na rzecz metafory sieci, wiecznie rozedrganej, zrywającej się i znów łączącej, chaotycznej, zmiennej. To jednak jeszcze bardziej zaciemnia i tak już niewyraźny obraz rzeczy.

Rzeczywisty system władz jest współcześnie słabo rozpoznany. Politologia koncentruje się na modelu władz państwowych, które dziś wyraźnie słabną i kontrolują coraz mniejszy fragment rzeczywistości. Opisy niepaństwowych systemów wpływu na człowieka są rozproszone po różnych dziedzinach wiedzy, zresztą nie wszystkie te systemy wprost nazywa się władzami, nie wszystkie też przyjmują stałe formy instytucjonalne.

Z antropologicznej perspektywy, można przyjąć, że co najmniej porównywalny z państwem, a w warunkach pokoju zazwyczaj większy niż ono wpływ na ludzi wywierają ci, którzy kontrolują ich dochody oraz ci, którzy kontrolują ich myśli. Aby więc chociaż minimalnie, ale zadowalająco uwspółcześnić obraz władz, trzeba by dodać, do opisywanych władz politycznych, władze finansowe i duchowe, w większości niepaństwowe i częściowo już globalne. Patrząc od strony człowieka, obiektu wszelkiej władzy, współczesny stan spraw władzy wygląda następująco:

- Władza może zagrozić użyciem przymusu lub faktycznie go zastosować; to jest władza **bezpośrednia**. Jej źródłem jest strach, a narzędziem przemoc. Władzę bezpośrednią ma zbir nad przechodniem, policjant nad zbirem, wojsko nad ludnością podbitego terytorium; ogólnie rzecz biorąc: silniejszy nad słabszym.
- Można też odwołać się do czyjejs chciwości, kupując określone jego zachowanie; to jest władza **finansowa**. Władzę finansową ma pracodawca nad pracownikiem, nabywca usług nad usługodawcą, korumpujący nad korumpowanym, bank nad kredytobiorcą; ogólnie rzecz biorąc: bogatszy nad biedniejszym.
- Można także wpłynąć na czyjąś postawę, aby on sam dążył do tego, czego się od niego chce; taka władza, oparta na obyczaju, kulturze, przewadze wiedzy czy autorytetu, to władza **duchowa**. Ma ją reklama nad konsumentem, propaganda nad wyborcą, publicystyka nad obywatelem, szkoła nad uczniem, kościół nad wiernymi, spryciarz nad naiwnym; ogólnie rzecz biorąc: mądrzejszy nad głupszym.

Władza bezpośrednia ma teoretycznie zasięg nieskończony. Można ją wyrzucić wszędzie tam, gdzie się dotrze z pałąką, karabinem albo czołgiem. Zasięg władzy finansowej wyznacza rynek

pieniężny. Trudno przekupić dolarem kogoś, dla kogo pieniądzem jest muszelka, a dolar to tylko zielony portret nieznanego pana. Zasięg władzy duchowej wyznacza kultura. Nie sposób przekonywać czy nagabywać kogoś, z kim się nie ma wspólnego języka czy jakiegoś innego kodu. Trudno też manipulować kimś, nie rozumiejąc jego motywacji.

Od kiedy człowiek przeszedł na osiadły tryb życia, stosunki dominacji i wyzysku przybrały formy terytorialne. Z czasem, świat został podzielony na formalnie równorzędne państwa, dysponujące wyspecjalizowanymi aparatami dominacji, nawzajem gwarantujące sobie wyłączność na wyzysk swoich poddanych. Państwa te ukształtowały swoje aparaty władzy z reguły według mody oświeceniowej, tworząc wzajemnie ograniczające się aparaty władzy **prawodawczej**, **wykonawczej** i **sądowniczej**, dzielące między siebie większość władzy bezpośredniej.

Współczesne władze państw zwykły wywodzić swój status z woli ludu, który miał się kiedyś powierzyć ich pieczy, a teraz, w ponawianym co parę lat ceremoniale, składając do urn symboliczne ofiary, lud odnawia swoje przymierze z władzami, które ukontentowane, na ołtarzu mediów, raczą go nieustającym reality-show. Ten porządek władz nazywany jest demokratycznym i obejmuje w pełni władze prawodawcze, w znacznym stopniu wykonawcze i w mniejszym sądownicze.

Władze finansowe i duchowe w większości wyzwoliły się z zależności od państwa i nie muszą się stroić w demokratyczne przybranie. Ich legitymizacja ma inny charakter. Fundamentem ideologicznym są dla nich fetysze wolności rynku i własności oraz wolności słowa, których kult dominuje praktycznie na całym świecie. Kto go nie wyznaje, tego prawo zmusza, ażeby chociaż udawał wyznawcę.

Tak więc, nawet innowiercy muszą czcić wszelką prywatną własność, nie wątpić w księgi wieczyste, uznawać pieniądze i nie pytać o ich wartość, uczestniczyć w rytuałach przetargowych, otwierać się na rynki, upłynniać i wymieniać co się tylko da na papier czy bajty, zapisane w arcykomputerze banku albo giełdy. Nie wolno im też protestować przeciwko otumanianiu dzieci, podnoszeniu nieoświeconego bełkotu do rangi nauki, a pijackich ekscesów do rangi kultury. Ale prywatnie, mogą myśleć, co tylko chcą.

Zasięg władz

Wraz z rozwojem różnych technik i metodologii sprawowania władzy, jej zasięg zwiększał się w obu kierunkach: wzwyż i wszcz. W 20. wieku, wojsko wypięrzyło swą organizację, sięgając czasami dziesięciu poziomów dowodzenia – od drużyny aż po naczelne dowództwo. W ten sposób, można było skutecznie sterować wielomilionowymi formacjami, z czego zresztą silni przywódcy, jak Hitler lub Stalin, skrzętnie skorzystali, narzucając milionom swoją jednostkową wolę.

Obok rozwoju organizacyjnego, postępował rozwój techniczny, dzięki któremu władze powiększały także zasięg horyzontalny. Elektroniczne media dostarczyły metod, dzięki którym garstka ludzi może bezpośrednio i jednocześnie manipulować setkami milionów. System finansowy pieniądza dłużnego oddał władzę nad bogactwem miliardów w ręce może paru setek osób. Wszystkie te nadludzkie możliwości wpływu są osiągnane zdalnie, poprzez środowisko techniczne.

Tylko bezpośrednia przemoc wymaga jeszcze dotarcia do pojedynczego człowieka,

pozostając w jakimś przewrotnym sensie ostatnią prawdziwie ludzką władzą. To jednak też się zmienia wraz z rozwojem technik, pozwalających zadawać cierpienia na odległość przy pomocy chemii, akustyki, elektromagnetyzmu czy kontroli środowiska. Nowoczesne systemy produkcji, dystrybucji i kontroli żywności oraz leków dały możliwość wpływania na zdrowie i życie większości żyjących – ledwie kilku globalnym korporacjom. To otwiera nowe pole działania dla zdalnej władzy.

Zresztą, wielka i nadal rosnąca zależność ludzi od infrastruktury pozwala ich krzywdzić po prostu poprzez pozbawienie dostępu do niej, a to wydaje się prostsze, niekontrowersyjne i łatwe do zakamuflowania. Duże miasto, pozbawione prądu albo wody, musi szybko stać się piekłem, a odpowiedzialność za ten stan można zawsze zrzucić na jakichś szkodników, innowierców albo innych niepokornych, przy okazji kierując na nich gniew ludu.

Gdyby chcieć jedną proporcjonalną piramidą władzy objąć wszystkich ludzi, jeśli przyjąć, z zapasem, że byłoby ich dziesięć miliardów, to wypracowana przez wojsko dziesięciopiętrowa struktura mogłaby pokryć ten zasięg już przy dziesięciokrotnym zagęszczeniu władzy pomiędzy sąsiednimi szczeblami, tak że każdy funkcjonariusz miałby dziesięciu podwładnych. Ale wszystkich funkcjonariuszy musiałoby być przeszło miliard.

Gdyby piramida miała mieć pięć pięter, do systemu władzy trzeba byłoby dopuścić około stu milionów osób, z których każda miałaby po stu podwładnych. Przy czterech piętrach, potrzebne byłoby mniej więcej trzydzieści milionów funkcjonariuszy i po trzystu podwładnych na każdego z nich, przy trzech – odpowiednio: pięć milionów oraz dwa tysiące. Przy dwuszczeblowej organizacji, wystarczyłby stutysięczny aparat władzy, na tyle jednak sprawny, aby każdy funkcjonariusz mógł kontrolować aż sto tysięcy podwładnych lub poddanych.

Gdyby ktoś tak lubił władzę, że w ogóle nie chciałby się nią dzielić, musiałby nieszczęśnik sam panować nad tymi wszystkimi miliardami. Czy to w ogóle możliwe? Chyba coraz bardziej. Do systemu władzy powłączano różne zdobycze nauki, nowe technologie, rozmaite automaty i automatyzmy, a od kiedy życie społeczne w coraz większym stopniu zaczęło lokować się w teleinformatycznej sieci, szczególnie ułatwiającej algorytmizację, władza gwałtownie informatyzuje się i dematerializuje.

Algorytmy nadzorujące ludzi, kontrolujące ich zachowania, kontakty, zakupy, finanse – rozproszone po całej sieci, niemożliwe do zlokalizowania – są „od zawsze” i niejako z definicji tak globalne, jak sama Sieć. Przy pomocy takich narzędzi, jednostki mogą panować prawie bezpośrednio nad coraz liczniejszymi masami – przy pomocy swojego rodzaju **telewładzy**. Współcześni władcy są coraz mniej zależni od dworów, urzędów i armii... i pewnie coraz bardziej samotni.

Ewolucja władz

Czy rozwój władz ma jakiś kres? Teoretycznie tak, nie może być przecież większej władzy niż globalna, silniejszej niż totalna, a przy tym bardziej skoncentrowanej niż monarsza. Kiedy któregośkolwiek rodzaju pojedyncza władza zdoła objąć naraz całą Ludzkość, trzeba będzie tę władzę nazwać globalną. Gdy jakakolwiek grupa ludzi będzie podlegała tej samej i jednej władzy we wszystkich możliwych zakresach naraz, trzeba będzie taką władzę nazwać totalną. Kiedy rzeczywiste centrum władzy będzie miało wielkość jednej lub kilku rodzin, to prędzej

czy później powiąże się genetycznie, i niezależnie od tego, jak by się taka władza kazała nazywać, będzie arystokratyczna albo nawet monarchiczna.

Czy możliwe są dzisiaj władze globalne, totalne i oligarchiczne lub monarchiczne? Oczywiście, tak. Globalna już się stała współczesna władza finansowa światowych regulatorów i organizatorów giełd nad rynkami elektronicznymi. Totalna była zawsze władza rodzica nad małym dzieckiem, władza strażnika nad więźniem czy psychiatry nad pacjentem. Oligarchiczna jest z pewnością władza nad globalnym systemem pieniężnym i zapewne władza nad mediami. Wewnętrzna organizacja tych oligarchii jest nie bardzo rozpoznana, nie wiadomo więc, czy same słuchają jakichś ukrytych mistrzów albo monarchów, czy podejmują decyzje zbiorowo, w oparciu o konsensus albo grę sił.

Co do władzy finansowej, wydaje się, że dostęp do najwyższych jej szczebli pozostaje od dawna dziedziczny, a zatem trzeba ją nazwać, jeśli nie dynastyczną, to co najmniej arystokratyczną. Władza duchowa jest nie w pełni ujednolicona, przez co jej organizacja bywa różna. Media podlegają przemożnej kontroli kapitału, ale tworzą własne dość zamknięte środowisko. Naukowe, kulturalne i oświatowe ośrodki wpływu też coraz bardziej się zamykają kulturowo i genetycznie, co zdaje się prowadzić do systemu klanowego, może kastowego. Instytucje religijne są też różnorodne, lecz – paradoksalnie – bardziej otwarte genetycznie. Najpotężniejsza z nich, Kościół katolicki, uniknęła prywatyzacji i dynastyczności dzięki celibatowi, który formalnie wyklucza, a realnie co najmniej utrudnia dziedziczenie pozycji.

WŁADCY

Bezpieczeństwo władz

Sto lat temu, anarchiści, uważający wszelkie władze za wcielone zło, chcieli je zmusić do działań radykalnych, najlepiej do ślepego terroru, który dręcząc lud, miał go sprowokować do rewolucji. Bojownicy rzucali na rządzących bomby i strzelali do nich z samopałów, dość skutecznie pogarszając komfort sprawowania władzy. Jako antidotum, powstał pomysł władz utajnionych, o nieznanym nikomu, także anarchistom, tożsamości, i z racji tego niezagrożonych zamachami. Czy je wtedy utworzono? Może próbowano, ale pierwsza połowa 20. wieku to jednak era silnych i jak najbardziej jawnych władz państwowych.

Dopiero pod koniec 20. stulecia, głównie wskutek ekspansji mediów oraz rynków, władze państwowe osłabły i pooddawały wiele ze swych kompetencji poza obszar polityczny, a ich podmiotowość stała się co najmniej dyskusyjna. Zależność państw od mediów i finansów jest dzisiaj wielka, zależność odwrotna słaba. Wygląda to na raczej stabilny układ dominacji władz prywatnych, finansowych i duchowych, nad władzami państwowymi, nie całkiem zresztą uświadamiany sobie przez opinię publiczną.

Sprawowanie władzy poprzez kredyt, informację i rozrywkę jest łatwe do przeoczenia, dlatego fasada państwa może wciąż się wznosić dumnie. Praw człowieka też nie trzeba reinterpretować, bo w końcu zniewolony ekonomicznie i umysłowo obywatel może się czuć

w jakimś sensie wolnym człowiekiem: kandydować gdzieś, za czymś głosować, cieszyć się różnymi niegroźnymi swobodami. Skoro zaś bezpośredni kontakt z władcą w ogóle przestaje być możliwy, a ulegając telewładzy, jest się posłusznym rządzącym, nawet nie wierząc w ich istnienie, faktyczny władca może dowolnie długo pozostawać nieznanym – i ogółowi, i nawet większości swych funkcjonariuszy czy tym bardziej statystów.

Czy możliwe jest, że dzisiejsze władze w końcu zrealizowały program sprzed stu lat? To zależy, kogo chcielibyśmy nazwać władzą. Jeśli wybieranych przez lud przedstawicieli, to ci oczywiście są ogólnie znani. Jednak hipoteza, jakoby sprawy publiczne mogli prowadzić aktorzy polityczni, biegli wprawdzie w uwodzeniu mas, ale chyba tylko w nim, a na pewno całkowicie nim pochłonięci, jest dość śmiała i paradoksalna. Z jednej strony, byłoby to trudne do utrzymania, z drugiej bardzo nieefektywne, ale może w krótkich okresach spokoju i równowagi, sprawy publiczne mogłyby zachowywać jakąś samosteroowność, i wtedy rzeczywiście władze byłyby tym lepsze, im mniej rozumiejące i im bardziej pochłonięte sobą.

Z drugiej jednak strony, wydaje się nieprawdopodobne, żeby ktoś, będący blisko ośrodków wpływu, nie pochłonięty walką na groźne miny z konkurencją, nie biorący udziału w plebiscycie na uśmiechy do kamery, w końcu nie spróbował uzyskać jakiejś rzeczywistej władzy. W ten sposób, ukryte elity, nawet gdyby wcześniej nie istniały, mogłyby powstawać samorzutnie. Biurokraci, merytokraci, dysponenci kapitału, mistrzowie wpływu duchowego – powinni dość łatwo budować struktury władzy poza wiecznie rozimpresowaną i bezrefleksyjną sceną demokracji. Prawdziwe władze miałyby czas i na zrozumienie spraw publicznych, i na rzeczywiste nimi sterowanie, i paradoksalnie, mogłyby być tym bardziej użyteczne dla ogółu, im mniej byłyby mu znane.

Niezależnie więc od tego, czy władze istniały, zanim wybrały cień, czy dopiero w nim powstały, trzeba by ich szukać raczej poza oficjalną polityką, która nieustannie karleje i redukuje się dziś do roli kanału tematycznego w telewizji. Premierzy, prezydenci, posłowie, eksperci, autorytety – są już wystarczająco zajęci ciągłymi występami, żeby ich jeszcze dodatkowo obciążać sprawami publicznymi. Zresztą, naprawdę się nimi interesując, mogliby się stawać konkurentami władzy. Bezpieczniej zatem jest werbować statystów wśród tak zwanych naturszczyków. Tacy naprawdę zadowolają się tytułami, lubią akademie, święta, defilady, czerpią radość ze stanowisk i orderów, nie filozofują, nie buntują się, nie próbują zaglądać za kulisy władzy, a wiedząc niewiele, mało też mogą zdradzić.

Stabilna i bezpieczna władza globu powinna więc pewnie przybierać od dołu formy odpowiadające wyobrażeniom ludu o sprawach publicznych. Oblicza i obyczaje oficjalnych władz powinny hołdować raczej estetyce właściwej dla komiksu lub szopki niż dla dramatu Szekspira. Zdumiewające kariery ze stajni na estradę albo do parlamentu, nagłe przyipywy atrakcyjności i autorytetu oraz nietrwałe, lecz imponujące przywileje, mają pobudzać wyobraźnię mas i zwabiać je do udziału w demokratycznych obrządkach i loteriach. Zresztą, w zdrowym systemie, garnitur statystów rzeczywiście powinno się co jakiś czas zmieniać, bo choć bezrefleksyjność i wiara mas są wielkie, to gra, w której wygrywają ciągle ci sami, w końcu przestaje być zajmująca.

Oczywiście, nikt przytomny nie odda ważnych decyzji w ręce osobników wylosowanych czy wybranych z tłumu. Zresztą, i dla tego tłumu byłoby lepiej, żeby władcy przygotowywali się do swej roli długo i starannie, by dojrzewali przez pokolenia, nie tylko przez rok kampanii wyborczej, i by doskonalili się raczej w rozumieniu świata niż tylko w zabawianiu mas. Rzeczywista, ustabilizowana i bezpieczna władza powinna kultywować własny, elitarny model wykształcenia oraz wychowania, w fundamentach podobny dla wszystkich elit. Różne

elity powinny się jednak wiązać dyskretnie, aby nie osłabiać fasadowej różnorodności władz oficjalnych. Najlepszym i chyba w dłuższej perspektywie nieuniknionym rodzajem powiązania wydają się więzy biologiczne.

Stabilność władz

Jednym ze sposobów na stabilność władz okazuje się zakamuflowana dominacja wąskiej i dyskretnej elity, zasłaniającej się szpalerem demokratycznych statystów. Taki system zresztą już istnieje w wielu krajach i zdaje się łatwo adaptować w kolejnych. Byłby to pewnie główny kandydat do roli systemu światowego.

Można też wyobrazić sobie jawne ułożenie władz według systemu kastowego. Siłowa władza wojowników, finansowa kupców, duchowa kapłanów, nie mieszające się klany, kasty czy plemiona, porozdzielane seksualnymi i obyczajowymi tabu, separujące się biologicznie oraz kulturowo – to także może być trwałe. W Indiach, podobny stan trwa tysiąclecia, ale tam separacja tkwi głęboko w podstawach kultury. Taki system w skali globu wydaje się istotnie prawdopodobny dopiero po możliwości całkowitego biologicznego rozdzielenia kast, tak by nawet nie mogły się krzyżować, do czego powinna zresztą doprowadzić genetyka i biotechnologia, może już w perspektywie obecnego stulecia.

Można także porozdzielać ludzi kulturowo, poprzez indoktrynację, hermetyzację języków, zróżnicowanie w dostępie do wiedzy. Dobrze temu służą ideologie, religie, sekty, tajne służby i stowarzyszenia. Taka jednak separacja, doraźnie skuteczna i chętnie uprawiana, w dłuższej perspektywie zdaje się samorzutnie zmierzać do wyodrębnienia genetycznego.

Jest także możliwe, aby system faktycznej władzy był nieosobowy, funkcjonujący bez planetarnych naczelników. Sposobów na to byłoby co najmniej dwa. Pierwszy sposób to automatyzacja władzy poprzez oddawanie różnych jej funkcji maszynom, algorytmom oraz procedurom. Władza wtedy może nawet istnieć materialnie, ale pozostawać nieosobowa. Drugi sposób to oparcie systemu na wielostronnej grze różnych mniejszych ośrodków władzy, nawzajem się ograniczających, i organizowanie spraw publicznych poprzez nieprzewidywalny i wiecznie nierozstrzygnięty wynik takiej gry. Wtedy rządziłaby jakaś „niewidzialna ręka”. Niektórzy nawet wierzą, że gdzieś już tak jest.

Pierwszy model, władza maszyn, oznaczałby autonomizację technosfery i zredukowanie ludzi do roli trzody, a to zawsze drażni ambitne jednostki i skłania je do aktów sabotażu albo terroryzmu. Grozić by to mogło zacieklą walką ludzi z maszynami, przyjmującą formy od tych, uprawianych kiedyś przez luddystów, do tych, przepowiadanych przez science fiction.

Drugi model zdaje się sprawdzać w niektórych sportach i czasem w parlamentarzystwie, ale w gospodarce wydaje się podobnie nietrwały, jak tak zwany wolny rynek, który konsekwentnie i nieuchronnie niszczy monopole, jeżeli tylko nie powstrzymuje ich jakaś pozarynkowa siła. Ponieważ, aby być w swym nadzorze skuteczna, taka siła, niejako nad-władza musi pozostawać poza systemem, niejako wracamy do modelu ukrytej elity.

Najbardziej stabilny okazuje się zatem system, który wydaje się także dla władz najbezpieczniejszy. Pewnie też do takiego powinny dążyć.

. II .

SIECI

Podbój Sieci

Podstawowe rodzaje i narzędzia globalnej władzy już istnieją. Co do rodzajów władz, są to głównie władze duchowe i finansowe, co do narzędzi, najważniejszym staje się sieć telekomunikacyjna, zwana dzisiaj Internetem. Sieć coraz ciaśniej oplata ludzi, coraz ściślej wiąże ich zmysły, coraz bardziej monopolizuje rozrywkę, pracę i życie społeczne.

Ewolucja interfejsów zdaje się konsekwentnie i nieuchronnie zmierzać w stronę całkowitego zaanektowania uwagi oraz świadomości. Czas spędzany poza siecią staje się coraz krótszy, a kontakty z pominięciem sieci coraz rzadsze i coraz trudniejsze. W końcu, nawet ciała internautów mogą przechodzić na zasilanie z sieci i nieużywane podlegać atrofii. Życie poza siecią stanie się pewnie najpierw uciążliwe, a w końcu pewnie niemożliwe. Odłączenie od sieci może być kiedyś gorsze od wyroku śmierci.

Władza nad siecią daje władzę nad człowiekiem, wpiętym w Sieć, a ta jest już wielka i nieustannie rośnie. Ponieważ cała Sieć pozostaje pod kontrolą maszyn, kontroli tej podlegają także ludzie. W warstwie fizycznej, Sieć kontrolują głównie nieświadome hosty, obsługujące wszelki ruch informacji. W topologii sieci występują jednak nieliczne kluczowe węzły i łącza, zdolne nadzorować większość ruchu informacji. W warstwie oprogramowania, Sieć jest pełna mniej lub bardziej samodzielnych programów, penetrujących ją, analizujących i modyfikujących. Są też mniej lub bardziej jawne instytucje, próbujące kontrolować Sieć. Największa z nich, Echelon, ponadnarodowy globalny cenzor, przetwarza miliardy komunikatów na dobę, selekcyjnie zaledwie tysiące z nich do poddania analizie ludzi, tym samym zwiększając wydajność szpiegów milionkrotnie.

Kiedyś, aby stale szpiegować jednego człowieka, trzeba było pracy wielu, dziś odwrotnie, jeden ludzki nadzorca może monitorować wiele osób naraz, wykonując policyjne funkcje, do których kiedyś były potrzebne setki techników, inżynierów, donosicieli, nasłuchowców, analityków i agentów. Wszystko to dzięki pomocy maszyn i oprogramowania, dzięki sieci, która gwałtownie rośnie i rozwija się, ale najszybciej ewoluują w niej narzędzia kontroli.

Entuzjazm pierwszych internautów, ogłaszających dumnie niepodległość kontynentu WWW, dość szybko został ostudzony przez rozwój sieci, w którym jednak dominują państwa, wywiady czy korporacje. *Nie posiadacie prawa, aby nami rządzić. Cyberprzestrzeń nie leży w zasięgu waszych granic ani waszych praw* – zwracał się do rządów fizycznego świata poeta John Perry Barlow. Było to co prawda zaledwie kilkanaście lat temu, ale jakże już wyraźnie w innym tysiącleciu niż obecne, w którym jednak Sieć chyli się raczej w kierunku dystopii niż utopii.

Telewładza

Najpotężniejszym narzędziem władzy staje się sieć telekomunikacyjna. W ramach istniejących tendencji rozwoju technicznego oraz społecznego, trudno w ogóle znaleźć jakiegokolwiek granice dla możliwości kontroli poprzez Sieć. Dystopie Orwella czy Huxleya, chociaż antropologicznie przeciwstawne, obie nawet nie zbliżają się swym zakresem do tego, co wydaje się możliwe i zapewne nieuniknione po całkowitym wciągnięciu ludzi w Sieć. Władza sprawowana poprzez Sieć mogłaby być rzeczywiście globalna, totalna i nawet monarsza.

Sieć jest w stanie nie tylko odbierać, ale też nadawać komunikaty. Najprostszym przykładem są różne programy, infiltrujące cudze komputery, i przejmujące nad nimi sterowanie, w rozmaitych celach. Coraz też łatwiej, można przysyłać niedostrzegalne komunikaty wpływające poprzez podświadomość na myśli i emocje internautów. Na razie robią to słabo jeszcze rozwinięte aplikacje handlowe i propagandowe, ale czy tak trudno sobie wyobrazić nieomal dowolne wpływanie nie tylko na stany umysłowe, ale też na fizjologię ludzi przy użyciu testowanych już interfejsów medycznych?

Wraz z ekspansją sieci, telewładza będzie mogła objąć prawie całą Ludzkość. Będzie to oczywiście władza dość ogólna, raczej parametryczna niż dominacyjna, kontrolująca bardziej środowisko i statystykę zachowań niż pojedynczych ludzi, choć i do tych może sięgać. Czy jednak zdolność uspienia, oszołomienia, zagłodzenia lub nawet uśmiercenia miliarda ludzi, nawet bez znajomości ich personaliów czy twarzy, nie może być nazwana władzą? Nie powinna?

Znamiennie i symptomatycznie zaczynają brzmieć apele, kierowane do państw o respektowanie wolności sieci, jakże podobne do tych, które wcześniej domagały się otwarcia rynków, ekspansji praw własności, komercjalizacji spraw publicznych oraz wymienialności walut.

Wymienialność lokalnej waluty na globalny pieniądz papierowy otwierała kolejne kraje na ekspansję wirtualnych kapitałów, wobec których były tym bezbronniejsze, im bardziej ulegały równoczesnej presji na otwarcie rynków oraz komercjalizację. Uruchamiało to procesy, w wyniku których społeczeństwa oddawały swoją pracę i swoje majątki w zamian za abstrakcyjne liczby, najpierw drukowane na papierze, potem już tylko kodowane w ukrytych gdzieś po lochach komputerach. W powiązaniu z nieograniczonym respektowaniem wszelkich zobowiązań oraz praw własności, takie procesy nabierają własnej dynamiki, i stają się nieodwracalne, a w końcu prowadzą do ekonomicznego zniewolenia większości ludzi w zamian za wirtualne fetysze. Kosztowny to kult i gorzki, nawet gdy propaganda nazywa finansowe zadłużenie – bogactwem, a ekonomiczne zniewolenie – wolnością.

Jakiego rodzaju faktyczną niewolę może przynieść tak zwana wolność sieci? To jest ograniczone tylko przez głębokość, na jaką będą w nas wnikać interfejsy. Na razie, trudno wskazać tego kres. O ile, od wolności rynku teoretycznie można się wyzwolić, dysponując mocą kształtowania lub ignorowania praw gospodarczych, najlepiej podpartą przez policję lub armię, jeszcze lepiej przez parę kęsów metalicznego uranu, to od wolności Internetu, już w niedługiej perspektywie, poza rezygnacją z praktycznie całej cywilizacyjnej infrastruktury, uwolnić będzie mogło tylko zakwestionowanie własnych władz umysłu.

Władca wszystkich kontynentów, pan władających nami maszyn, w końcu pewnie sam będący maszyną, może bezcielesnym algorytmem rozproszonym po sieci i obecnym wszędzie – po cokolwiek mógłby potrzebować nas, to nas obliczalnych oraz sterowalnych. Podłączeni do sieci, zanurzeni w niej i zależni od niej, będziemy w jej czy jego władzy tylko wtedy i tylko na tyle, na ile będziemy przewidywalni. Jest jednak wolność, której nikt nam nie może odebrać: szaleństwo.

Wolność niewolników

Postęp techniczny spłaszcza piramidy władzy. Ich kolejne szczeble mogą się różnić wielkością już nawet milionkrotnie, skoro możliwe staje się jakiegoś rodzaju władanie milionami przez jednostki. Dlatego w mniejszych państwach efektywne staje się jedynowładztwo. Wydaje się zresztą, że w ostatnich dziesięcioleciach, utworzono i afiliowano przy ONZ co najmniej kilka prywatnych państweczek. Ich fundatorzy może spędzają tam wakacje, a może weekendy, może są znani ogółowi, a może nie. Może każą się wybierać na posłów albo prezydentów, ale to raczej na starość, dla urozmaicenia emerytury. Zresztą, trzeba by wymyślić jakieś nowe tytuły na określenie ich statusu nadobywateli, nadposłów i nadprezydentów.

Kiedyś, podobnie może być z globalną władzą, odrębną kulturowo i biologicznie od zarządzanych mas. Mając dostęp do techniki, władza ta odrzuci ograniczenia antropologiczne, używając coraz szerzej mechanicznych czy elektronicznych sług. Jeśliby chciała trwać bezpiecznie i cieszyć się spokojem, powinna też umieć się samoograniczać i nadal zakrywać swoje istnienie parawanem demokracji, nawet wtedy, kiedy prezydenci i posłowie będą już ewidentnie zbędni.

Ktoś odpowiednio ulokowany i oprzyrządowany, mogąc sterować z jednego miejsca czy z jednego interfejsu naraz miliardami ludzi, będzie mógł uważać się za Imperatora Ziemi. Jednak, z punktu widzenia poddanych, jego istnienie będzie tak nieweryfikowalne, że aż abstrakcyjne, gdyż oni sami będą dostrzegać tylko władzę bezludnego środowiska albo bezwolnych statystów. Istnienie takiego władcy byłoby więc pewnie badane raczej przez teologię niż politologię, a jego śmierć albo przepisanie się na dysk twardy będą równie nieweryfikowalne, jak jego uprzednie istnienie, które tym samym należy uznać za obiektywnie nieistotne. Co nie znaczy, że niedolegliwe.

Starożytni mawiali, iż kto ma dwóch panów, ten nie jest do końca niewolnikiem. Dlatego, dopóki istnieje wiele rodzajów i wariantów władz, ludziom zawsze pozostaje jakiś margines wolności. Póki też ludzie różnią się jedni od drugich, władza musi podchodzić do nich indywidualnie, chociażby dlatego, że trzeba ich rozmaicie straszyć, przekupywać czy uwodzić.

Dopóki więc Ludzkość pozostanie mozaiką, niemożliwa będzie absolutna władza nad nią całą. Trzeba zatem cenić i kultywować różnorodność języków, religii, obyczajów, gospodarek, ustrojów, rynków, technik, nauk, ustrojów, mediów... Czy to jeszcze możliwe? W jakimś zakresie jeszcze tak, w jakimś już raczej nie. Stosunkowo najmniej zagrożone ujednoczeniem wydają się języki i religie, stosunkowo najbardziej technika, finanse i gospodarka. Powstrzymanie postępu wymagać będzie albo wysokiej świadomości, albo przeciwnie: prymitywizmu. Niestety, realizm nakazywałby oparcie się raczej na tym drugim.

Globalizacja władzy

Prawie na naszych oczach, za pamięci najstarszych spośród jeszcze żyjących, ziemski glob stał się terenem jednego – naszego gatunku, podporządkowanym jego potrzebom i jego zachciankom. Podobnie, cała gospodarka stała się globalną, silnie powiązaną jednością, obejmującą wszystkie kontynenty oraz strefy klimatyczne. Nowoczesny transport, łączność, media – dostarczyły nader stymulującej pożywki dla globalizacji. I tak, globalne są już finanse, globalna kultura, globalna nauka, globalny sport, globalna przemoc i oczywiście globalna Sieć...

Co by tu jeszcze zglobalizować? Język? Może dzisiaj miałoby to sens, ale już wkrótce nie musi. Raz: dzięki postępom automatycznej translacji w czasie rzeczywistym. Dwa: zważywszy na ubożenie komunikacji, które może doprowadzić do takiego stanu, że większości ludzi wystarczy kilkaset słów lub ikon, zrozumiałych we wszystkich językach.

To może by ujednocilić religię? Czemu nie? Były już zresztą próby tworzenia religii alternatywnych: naukowej, postępowej czy ekologicznej. Ale nie wyparły one religii wcześniejszych. Były też wizje uniwersalnego światopoglądu, który miał być częścią wspólną wszystkich większych religii oraz filozofii, niejako z definicji od każdej z nich mniejszą, na razie może niewystarczającą, ale w przyszłości, w razie dalszej barbaryzacji społeczeństw – kto wie?

To jednak tylko niektóre z wielu możliwości, prawdopodobne, ale niekonieczne. Przesądzona natomiast i nieunikniona wydaje się globalizacja władzy. Oczywiście, może ją powstrzymać wielka wojna albo katastrofa, na powrót rozbijająca Ludzkość na małe wspólnoty i znowu rozdzielająca kontynenty, ale jeśli nie dojdzie do całkowitej zagłady gatunku, bardzo prawdopodobny wydaje się dość szybki powrót na podobną do dotychczasowej ścieżkę ewolucji w kierunku cywilizacji globalnej.

Rozrost bytów zbiorowych powinien na razie zatrzymać się na Ziemi i może jej okolicach, rozwój narzędzi panowania nad ludźmi powinien się zadowolić siecią. Procesy te zdają się więc mieć przewidywalny kres. Czy towarzyszące im karlenie jednostek, prymitywizacja kultury, skostnienie oświaty, zanik nauk podstawowych, degeneracja sfery publicznej – również mogą się wtedy zatrzymać? Zapewne tak, tylko na jakim stadium? Czy wystarczającym, żeby można było jeszcze podjąć dzieło rehumanizacji?

W ostatnich stuleciach, głównym motorem postępu, przynajmniej w dominującej cywilizacji europejskiej, był indywidualizm i wynikające z niego koncepcje jednostki, jej swobód i praw, ontologicznego zrównania, a nawet nadrzędności nad bytami zbiorowymi. Teraz ten sam indywidualizm wchodzi w konflikt z postępem procesów, które kiedyś uruchomił, a potem napędzał, które jednak dziś się zautonomizowały i żywią się już bardziej małością niż wielkością ludzi. Rozwój jednostek zaczyna być sprzeczny z rozwojem społeczeństw, przynajmniej z rozwojem w kierunku cywilizacji globalnej. To zdaje się zapowiadać wielkie zmiany.

Z początkiem tego tysiąclecia, minęło 2222 lata od czasu, kiedy Zheng, król państwa Quin, zakończył epokę walczących królestw, podbijając je wszystkie, scalając i ujednociając. Zestandardyzował miary, wagi, pismo i walutę. Uporządkował też sprawy nauki, zakopując żywcem uczonych i paląc ich księgi. Pozostawił tylko praktyczne i nie wzburzające myśli

podręczniki. Pozmieniał granice i nazwy, rozbroił prywatne armie i wydziedziczył z ziemi rody feudalne. Dotychczasowy porządek arystokratyczny zastąpił scentralizowaną biurokracją, na której czele stanął on sam, przyjmując imię Najdostojniejszego Pana. Tak powstały nowożytne Chiny, trwające w zasadzie do dziś. To chyba jedyny tak trwały projekt globalizacji. Czyżby miał okazać się teraz symptomatyczny?

SPISKI

Urban legends

Trudno o rzetelną wiedzę na temat kształtowania się globalnych władz. Jesteśmy zwykle zdani bądź na źródła nieoficjalne, bądź na układanie puzzli z różnych przecieków czy przejęczyń w mediach oficjalnych. Szczególnie pomocny może być Internet, który stał się wprawdzie gigantycznym rezerwatem nieuctwa, zbierającym cały odmęt bzdur, przesądów, propagandy i dezinformacji, ale przy jakimś wysiłku i pewnych umiejętnościach można czasem odsiać z niego użyteczne informacje, a jako globalny przegląd prasy i plotek on-line, Internet bywa wręcz nieoceniony. W ostatnich latach, erozja przywództwa USA oraz globalny kryzys finansowy poodślaniały trochę tworów, które miały rzekomo nie istnieć albo być tylko urojeniem nieszczęśników porażonych spiskową wizją świata.

- Jawna współpraca złodziei danych bankowych i skarbowców, pewnie ku konfuzji obu stron zrównująca ich status, a przynajmniej czyniąca je współnikami w łupieniu bogaczy, którzy nie opłacili się jednym lub drugim.
- Oficjalnie, a przynajmniej publicznie formułowane pytania o istnienie złota w Ford Knox albo o faktyczną rolę banków centralnych w systemie pieniężnym. Odświeżanie pamięci o powstaniu FED, BIS, o Bretton Woods, o dysparytecie Nixona. Dopuszczanie przy tym do mediów poglądu o bezwartościowości wszystkich pieniędzy – na równi fałszywych z prawdziwymi.
- Ujawnione, w chwili nieuwagi, łączenie w jednej firmie roli inwestora, maklera i dostarczyciela oprogramowania giełdy, pozwalające jej na handel samej ze sobą przy użyciu przechwyconych na ułamki sekundy pieniędzy inwestorów, i w ten sposób na bezgotówkowe kształtowanie notowań oraz zbliżającą się do nieskończoności stopę zysku z takiej spekulacji.
- Kompromitacja klimatologów, rozciągających swoje modele daleko poza zakres ich wiarygodności, aby dostarczyć uzasadnienia dla powszechnego opodatkowania procesów utleniania węgla, a warto pamiętać, że jednym z nich jest życie, i oddanie rynku praw emisji CO₂, a w dalekiej konsekwencji – koncesjonowania życia, w ręce tych samych firm, które już fałszują giełdy.
- Odślonięcie gigantycznego zakresu działania globalnego podsłuchu wszelkiej łączności przez system Echelon, którego istnienie niedawno jeszcze dementowano.
- Wysyp prototypów coraz to nowych broni, zwłaszcza autonomicznych maszyn,

zdolnych się samodzielnie żywić i realizować bez łączności i nadzoru wieloletnie misje przeciw niejasno zdefiniowanym ludziom.

- Powszechnie dostępne zdjęcia satelitarne, ujawniające olbrzymie instalacje anten o tajemniczym przeznaczeniu, wyposażone we własne wielkie elektrownie, dające podobno możliwość zdalnego i niebezpiecznego oddziaływania na zjawiska elektromagnetyczne, klimatyczne czy geologiczne; w każdym razie taka spiskowa wersja brzmi jednak poważniej od tej oficjalnej, która mówi o badaniu i wytwarzaniu kolorów na niebie w postaci zorzy polarnej.
- Wchodząca w fazę końcową budowa szkieletu sieci Grid, następcy Internetu, integrującej docelowo wszystkie komputery i wchłaniającej ich pamięć, niejako deprywatyżując moce i zasoby informatyczne. Jakże znakomicie wzmocni to możliwość kontroli nie tylko już informacji, ale nawet historii! Orwell byłby zachwycony!

Król jest nagi

Tryby i przekładnie, jakie poodstaniały się ostatnio przed opinią publiczną, tak już ją zdeorientowały, że nawet najwytrwalsi tropiciele spisków jakoś przycichli, skonfundowani tym, że ich głos miałby nagle współbrzmieć z mediami mainstreamu.

A tu jeszcze jawne kpiny z autorytetu demokracji, sprawiedliwości i nawet rozsądku, takie jak Nobel pocieszenia dla Ala Gore'a w zamian za to, że zgodził się nie sprawdzać i nie konsumować wyniku wyborów prezydenckich, czy Nobel wotywny dla Obamy, przyznany mu pośpiesznie, zanim zdążył na dobre objąć urząd i ogłosić nową wojnę. I jeszcze te samozadowolone twarze urzędników europejskich, na których trudno się dopatrzeć choćby śladów inteligencji czy tym bardziej zdolności zarządzania czymkolwiek...

Komu to nie wystarczy, by zaczął wątpić, tego wiara jest niewzruszona i godna nagrody. Co najmniej, Nobla.

Kryzys państw i demokracji, redukowanie nauki do propagandy, drylowanie mózgów przez media, fałszywe pieniądze, nieprawdziwe długi, rysowane przez komputerowych grafików indeksy giełdowe... czyżby wszystko, czym nas raczą media, miało być nieprawdziwe? Wszystko to nie, ale jednak wiele, coraz więcej.

Schyłek systemu wprowadza stan nieokreśloności, kiedy terażniejszość jest coraz trudniejsza do zrozumienia, a przyszłość praktycznie nieprzewidywalna. Gdy się dobrze i bez uprzedzeń zastanowić, to mniej więcej wiadomo już, co nie działa i co musi szczeznąć, ale naprawdę jeszcze nie wiadomo, co się przyjmie w zamian. Ktokolwiek coś z tego rozumie, wypowiada się ostrożnie i rzadko.

Słysząc za to bezmyślne i prawomyślne, coraz bardziej historyczne zaklęcia propagandystów, nadwornych mędrców, konserwatorów idei, proroków przeszłości, którzy tym głośniejsze krzyczą, im bardziej się boją przyszłości i mniej rozumieją z terażniejszości. Dlatego oficjalny obraz rzeczy coraz bardziej rozmija się z rzeczywistością, ale też będzie taki humanitarnie utrzymywany aż do ostatniej możliwej chwili, bo przecież nie ma on wyrażać prawdy, tylko uspokajać masy.

. III .

RZECZYWISTOŚĆ

Globalne władze

Władze bezpośrednie

Jeśli chodzi o zorganizowaną przemoc, wciąż dysponują nią państwa, choć prywatne policje zaczynają gdzieś dorównywać państwowym, a wraz z komercjalizacją wojny, rosną również prywatne armie. Afiliowane niedawno przy ONZ nowe państewka, jak gdyby nagle odkryte oceaniczne narody i wyspy, wydają się inwestycjami prywatnymi, a co najmniej komercyjnymi. Tak czy owak, legalizują one dostęp jednostek, rodzin lub firm do instrumentów władzy państwowej, w tym do rządowych narzędzi przemocy.

Trudno sobie wyobrazić, aby rodziny, które stać na przywileje stwarzania pieniądza, informacji, a nawet narodów i państw, nie zapewniły sobie kontroli, przynajmniej częściowej, nad bronią masowej zagłady. Magiczna tej broni natura pozwala na terroryzowanie milionów bez pomocy nawet pułku zbrojnych, wystarczy do tego zaledwie paru techników, pilnujących, aby moc nie opuszczała ukrytego przycisku czy dźwigni. To zbyt wielka pokusa, żeby któryś z możliwych zdołał jej nie ulec. A po jednym, zawsze przychodzą następni. Należy więc się spodziewać, że w prywatnych, korporacyjnych, czy ogólnie biorąc niepublicznych rękach, pozostaje co najmniej pewien ułamek potencjału zagłady. A każdy, który choć trochę przekracza masę krytyczną, jest już wielki.

Nie do końca rozpoznane są nowe rodzaje globalnej broni, pozwalające na zdalną destrukcję środowiska, pogody czy infrastruktury. Informacje o nich są zwykle mało wiarygodne, zresztą na równi te ludowe z tymi rządowymi. Stosunkowo najłatwiejsze do wyobrażenia byłoby tu zastosowanie efektów rezonansowych, polegających ogólnie na tym, że mały bodziec o właściwie dobranej częstotliwości jest w stanie wyzwolić wielkie energie, nawet w odległych układach, dla których jest to częstotliwość drgań własnych.

Dotyczyć to może choćby drgań jonosfery, które mogą wprawiać w rezonans ładunki atmosferyczne albo sieci energetyczne. Podobnie z litosferą, której drgania mogą rezonować z konstrukcjami albo strukturami tektonicznymi. Łatwo w ten sposób można uzasadnić mechanizm indukowanych przepięć sieci energetycznej, burz, katastrof budowlanych, a nawet trzęsień Ziemi. To oczywiście tylko łatwość intelektualna, łatwość stawiania hipotez i projektowania eksperymentów, jednak instalacji, które mogłyby do takich eksperymentów służyć, odkryto już kilka, a niektóre z nich stoją od dziesiątek lat.

Do terroryzowania ludzi nie jest zresztą w ogóle konieczna broń, której wytwarzanie i obrót podlegają dość ścisłemu nadzorowi i mogą narazić aspirantów na odwet ze strony

zazdrosnych o swoje monopole dotychczasowych władców. Ludzi można otumaniać, truć, nękać czy mordować bez podejmowania takiego ryzyka. Systemy licencjonowania i dystrybucji leków, używek, żywności, chemii, wody, mediów komunalnych, systemy zdalnego sterowania finansami, informacją i infrastrukturą – mogą stosunkowo bezpiecznie i skrycie być użyte jako broń lub co najmniej narzędzie terroru. A pozostają zwykle w dyspozycji ponadpaństwowych korporacji.

Tak czy owak, sytuacja z władzą bezpośrednią wydaje się najklarowniejsza. Globalnym potencjałem zagłady dysponują głównie państwa. Większość tego potencjału posiadają Stany Zjednoczone, a reszta pozostaje głównie w dyspozycji Rosji. Znacznie mniejsze, choć globalnie istotne potencjały mają Wielka Brytania i Francja. Liczyć się mogą jeszcze, chociaż w różny sposób, potencjały Izraela oraz Chin. Inne państwa, w tym ponadmiliardowe Indie, nuklearny Pakistan oraz potężne technicznie i gospodarczo Japonia i Niemcy, to już, a może jeszcze, gracze regionalni.

Władze duchowe

Trudniejsze jest rozpoznanie postaci władz duchowych, które przyjmują wiele form. O ile, w przypadku wielkich religii, piramidy wpływu wydają się klarowne, to w przypadku instytucji naukowych, zależności i systemy certyfikacji są już mniej przejrzyste. Podobnie z systemami edukacji, choć tu obraz porządkuje ich silna zależność od państw, które je karmią dewocją poddanych w ramach powszechnego przymusu oświatowego.

Jeśli chodzi o religie, tylko Kościół katolicki ma stabilną globalną organizację. Pozostałe wyznania nie dysponują podobnymi strukturami. Jakichś ich namiastek można się dopatrywać w judaizmie oraz islamie, a także masonerii, jeśli i ją zaliczyć do wyznań. Tak czy owak, centra struktur religijnych są skupione w Europie i na Bliskim Wschodzie. Z reguły, żadne z nich nie podlegają państwom, a nawet przeciwnie, same czasem rządzą państwami.

W nauce i tym samym doktrynie edukacyjnej, na szczycie piramidy autorytetu stoi kilku najważniejszych producentów idei, inwencji, innowacji, jak MIT, Los Alamos, NASA, DARPA albo CERN. Są to zwykle instytucje rządowe lub międzyrządowe, mniej lub bardziej tajne, rzadko lub w ograniczonym stopniu powiązane z kształceniem. Wszystkie, poza CERN, są zlokalizowane w USA, choć za nimi stoi i na nie pracuje, masa innych instytutów, rozproszonych po całym świecie.

Treści propagują, zresztą też współtworzą, uczelnie. Główne z nich, kształtujące najwyższe piętra nauki, to amerykańskie: Harvard, Yale, Stanford, Princeton i znów MIT, a poza USA: Oxford, Cambridge i zapewne Heidelberg. Dalej mamy setki ważniejszych uczelni świata, w tym może ze dwie polskie, potem tysiące uczelni poślednich, i w końcu niezliczone szkoły średnie i elementarne.

Są jeszcze wielcy cenzorzy, certyfikujący autorytet i dbający o czystość doktryn oraz praktyk; taką rolę odgrywają najpoważniejsze wydawnictwa, jak Springer-Verlag czy Pergamon Press, i najważniejsze czasopisma, jak Nature oraz Science.

Co do mediów, istnieje niewielu globalnych producentów treści. Najstarszymi są agencje informacyjne. Główne z nich, tak zwana wielka czwórka, to amerykańskie AP i UPI, brytyjski Reuters i francuska AFP. Ważniejsze agencje narodowe o znaczeniu globalnym to rosyjski ITAR-TASS, niemiecka DPA, włoska ANSA i holenderska ANP.

Obrazu dopełniają globalne i sub-globalne telewizje informacyjne, jak CNN, BBC, Sky, Al Jazeera, Fox, ABC, France24, Tele-SUR. Wspomnieć też należy manhattańskiego Bloomberga, dzisiaj największą agencję informacyjną, jednak całkowicie wyspecjalizowaną w finansach i tak ściśle powiązaną z instytucjami finansowymi, że naprawdę nie wiadomo, czy należałoby ją zaliczyć do władz duchowych, czy do finansowych.

Co się tyczy formy prawnej, media funkcjonują zwykle jako spółki giełdowe, rzadziej spółki prywatne lub spółdzielnie. Z wymienionych mediów, tylko AFP, ITAR-TASS i BBC są państwowe, choć ich merytoryczna zależność od państw jest w różnym stopniu ograniczona w ramach doktryny wolności słowa.

To media informacyjne. Można by to wyliczenie poszerzyć o media, działające w obszarze emocji, zajmujące się modą, hobby, muzyką, sportem, media tematyczne, ale tu napotkamy podobny obraz, zresztą główni właściciele mediów będą zwykle ci sami. Najwięksi z nich to: Time Warner, Disney, Viacom, Sony, News Corporation, Bertelsmann, TCI, Polygram, NBC i Universal. Są to w większości spółki amerykańskie, przynajmniej tam mają siedziby.

Perspektywicznie najważniejszym medium i narzędziem władzy jest Sieć WWW. Jeśli chodzi o produkcję treści w sieci, trudno tu mówić o monopolach, bo treść dziś produkuje każdy, kto umie nagrywać, wybierać z menu albo pisać, a ściślej rzecz biorąc, znaleźć przycisk nagrywania w telefonie, kliknąć na okienku menu albo wielokrotnie i sekwencyjnie naciskać przyciski klawiatury. To tłum tworzy dzisiaj główny strumień treści, najdelikatniej mówiąc: gwar.

Oczywiście, bardziej artykułowane przekazy pochodzą nadal z tradycyjnych mediów, choć możliwość „nadawania” bardzo się zdemokratyzowała, i wielu tzw. blogerów jest dzisiaj w stanie konkurować z pomniejszych lub mniej starannymi mediami, ale w konsekwencji albo są przez media przejmowani, albo sami się nimi stają.

Tym ważniejsze stają się wyszukiwarki, eksplorujące to wysypisko treści. To one w gruncie rzeczy decydują o powszechnie przyjmowanych znaczeniach słów i fraz, a przez młodszych obdarzane są już nieomal pytyjskim autorytetem. Tu zdecydowanie dominuje Google, zauważalne, lecz już wielokrotnie mniejsze wpływy, mają Yahoo i Microsoft. Reszta na razie nie przerasta trawy.

W udostępnianiu nagrań całkowicie dominuje YouTube, w łączeniu ludzi w grupy, w których komunikują się już bardziej kameralnie, dominuje Facebook, w obsłudze handlu – eBay i Amazon.

W organizowaniu sieci, wiodącą rolę odgrywa spółka World Wide Web Consortium (W3C), założona przez Massachusetts Institute of Technology (MIT), Defence Advanced Research Projects Agency (DARPA) i Komisję Europejską (EC) oraz spółka The Internet Corporation for Assigned Names and Numbers (ICANN), formalnie publiczno-prywatna, lecz kontrolowana przez rząd USA. Najbardziej rozległą inwigilację sieci prowadzi National Security Agency (NSA), wsparta przez wywiady Wielkiej Brytanii, Kanady, Nowej Zelandii, Australii i Niemiec w ramach projektu Echelon.

Wszystkie wymienione podmioty dominujące w Internecie to amerykańskie spółki, z wyjątkiem Wikimedia, która jest amerykańską fundacją, DARPA, która jest agendą Departamentu Obrony USA, oraz NSA, która jest amerykańską agencją wywiadowczą. Jakby mało tego, infrastruktura techniczna globalnego Internetu jest zarządzana w większości przez różne administracje wojskowe i naukowe, oczywiście także z wiodącą rolą tych zlokalizowanych w USA. Jak wyraźnie widać, kontynent Internetu, wcale się nie oddzielił od

macierzystej Ameryki Północnej.

Nauka, media, Internet są dzisiaj prawie całkowicie zamerykanizowane, nauka: od czasów Drugiej Wojny, media: od elektronicznej rewolucji, Internet: od zawsze, choć to *zawsze* trwa w tym wypadku najkrócej. Zaledwie religie pozostają domeną Starego Świata, choć to *zaledwie* może być najważniejsze.

Władze finansowe

Władze finansowe są coraz lepiej rozpoznane, choć właśnie ogarnęła ją niestabilność i ich struktura może gwałtownie ewoluować. Biorąc pod uwagę stan sprzed turbulencji, obraz byłby mniej więcej taki:

Rynki pozostają pod kontrolą głównych giełd, a te stopniowo wyzwala się z przynależności państwowej, kulturowej, geograficznej, pór roku czy nawet rytmu dobowego. W rozwoju tym przoduje rynek pieniężny Forex, całkowicie już wyzwolony z lokalizacji na mapie, na zegarze czy w kalendarzu i stający się po prostu portalem w sieci WWW, wyspecjalizowanym w zamianie jednych walut na drugie, a ściślej mówiąc, w odpowiedniej synchronizacji księgowania w globalnym komputerze sieci. Forex monopolizuje obrót pieniądź-pieniądź, a pozostałe giełdy – wymianę pieniędzy na inne abstrakcje, jak akcje – symbolizujące własność, obligacje – wyrażające dług, kontrakty – przyrzeczenie dostaw, czy opcje – zakłady o przyszłość. Takie są dziś giełdy.

Kreacja pieniędzy jest procederem dość przewrotnym, zawsze korzystnym dla banków, rzadko dla ich klientów, gwarantowanym przez państwa oraz ich służby, mimo że korzystające z tych gwarancji banki w większości są prywatne. Pieniądze pozostają pod kontrolą całej piramidy banków, najpierw komercyjnych, potem centralnych banków wszystkich państw i w końcu amerykańskiego, choć w gruncie rzeczy prywatnego, Zarządu Rezerwy Federalnej (FED) oraz szwajcarskiego, choć w gruncie rzeczy eksterytorialnego, Banku Rozliczeń Międzynarodowych w Bazylei (BIS).

Podział ról pomiędzy tymi dwoma wierzchołkami piramidy jest nie całkiem czytelny i nie zawsze harmonijny. Nie można wykluczyć, że zdumiewające i niebywałe otwieranie banków szwajcarskich na wgląd nie całkiem zdefiniowanych audytorów zewnętrznych, głównie amerykańskich, to przejaw jakiejś rozgrywki między FED i BIS.

Obraz głównych graczy uzupełniają instytucje Bretton Woods: Międzynarodowy Fundusz Walutowy (IMF) i Międzynarodowy Bank Odbudowy i Rozwoju, znany szerzej pod nazwą Banku Światowego (WB), oraz nie w pełni zinstytucjonalizowane kluby: Układ Ogólny w sprawie Taryf Celnych i Handlu (GATT) i porozumienie najbogatszych państw G20. Te pierwsze mają kontrolować zadłużenie, te drugie handel.

Być może, należałoby do tych wyliczeń dodać główne koncerny paliwowe, potrafiące dominować nad mniejszymi państwami niczym okupanci, ale wtedy czemu by pomijać koncerny energetyczne albo transportowe? A surowcowe, zbrojeniowe, spożywcze, chemiczne, farmaceutyczne? Wszystkie te branże są w stanie narzucać państwom rentę monopolistyczną w postaci quasi-podatkowych marż, i korumpować rządy w zamian za licencje na eksploatację ich ziem oraz poddanych. Zaliczenie ich do władz finansowych byłoby formalnie poprawne, lecz stanowią raczej niższe piętro władzy, bo można być w zasadzie pewnym, że koncerny są zależne od innych, bardziej kondensujących władzę i

potężniejszych instytucji, stojących wyżej w piramidzie finansowej dominacji, mianowicie banków.

Nie sposób w dużym biznesie uniknąć relacji z bankami, zwłaszcza kiedy je wymusza prawo, a zazwyczaj pierwszy podpisany wniosek kredytowy ma moc cyrografu. Dlatego, z dużym prawdopodobieństwem można przyjąć, że każdy większy biznes prędzej czy później popada w zależność od banków... chyba że sam staje się bankiem, ale wtedy musi zająć swoje miejsce w szyku i też żywi system.

Banki mają właścicieli. Banki centralne też, choć nie wszystkie i nie zawsze wprost. Jest to z reguły własność tak wielka, że nie ma rynków, które byłyby w stanie obsłużyć jej transfer. Ale małżeństwa mogą. Dlatego jest dziedziczna. I oczywiście dynastyczna. Główne dynastie bankowe istnieją od wielu pokoleń, niektóre nawet od wielu stuleci. Są tak silnie wpisane w światowy system finansowy, że się wydają z nim nierozdzielne. Ich przedstawiciele nie muszą się mianować prezesami albo prezydentami, nie muszą też epatować plebsu tytułami lordowskimi, orderami, klejnotami albo pałacami. Minęły już czasy nowobogackich protoplastów, którzy rozsypywali z karet złote monety po drodze z domu do banku. Skądinąd, szkoda. Współcześni bankierzy są bardziej dyskretni (lub bardziej skąpi) od swoich przodków, ale ich władza nie zmalała, raczej wprost przeciwnie. Jest to zapewne najpotężniejsza arystokracja naszych czasów.

Globalni władcy

Uniwersalnym, powszechnym i najłatwiej dostrzegalnym środowiskiem wszelkiej władzy są biurokracje. Współcześnie, absorbują one od kilku do kilkunastu procent populacji, układając się w różne piramidy o kilkuszczelbowym wypiętrzeniu. Biurokracje wykazują niezmiennie i konsekwentnie instynkt wzrostu: powiększania budżetu, zatrudnienia, uprawnień, bezkarności. Zawsze dążą do marginalizowania zewnętrznego nadzoru: społecznego, kapitałowego czy merytorycznego. Wzrost autonomności i ogólny rozrost są tutaj bardziej przejawem instynktu niż strategii. Zbiorowa inteligencja biurokracji jest raczej niska, a osobowość patologiczna. Gdyby szukać metafory psychologicznej, trzeba by biurokrację porównać do bulimicznego i egotycznego lenia. Tacy mogą szkodzić oraz marnotrawić, ale raczej świadomie nie rządzą. Choćby dlatego, że mają infantylny obraz świata. Bezrozumność i miałość biurokracji mogłyby skłaniać do uważania jej bardziej za humus niż narzędzie czy tym bardziej podmiot władzy, choć bywa i jednym, i drugim. Ale zazwyczaj jest tylko nawozem, nie zawsze zresztą zdrowym.

Co do korporacji, przedstawianych przez niektórych jako konkurenci i następcy państw oraz główni rycerze globalizacji, wydaje się, że także ich osobowość jest nazbyt ograniczona, aby im pozwolić na sprawstwo w jakichś ważniejszych przemianach – poza specyficznie rozumianą gospodarką i finansami. Obsesyjne, prawne i statutowe zafiksowanie korporacji na ekspansji, zawłaszczeniach, monopolach i krótkoterminowych zyskach, u człowieka definiowałoby osobowość psychopatyczną, egotycznie upośledzoną, niezdolną do szerszej perspektywy i obciążoną fatum samozagłady. Dlatego, korporacje powinny być uważane chyba bardziej za narzędzia niż podmioty władzy. To znaczy, porządne korporacje, bo te spośród nich, które w logice swego działania wychodzą poza kategorie finansowe, przyjmując formy sekt lub mafii, mogą przełamywać psychiatryczne granice komercji i wybijać się na pewną samodzielność... przynajmniej, do któregoś bilansu.

Podmiotowość mogą zachować w globalnym układzie władzy niektóre służby specjalne, zwłaszcza te, które uniezależniają się od swoich państw lub przejmują nad nimi władzę. Ich siłę i samodzielności mogłaby także sprzyjać kryminalizacja, a trwałości – ewolucja w kierunku sekt lub tajnych stowarzyszeń, z mistyką tajemnic, pychą uprzywilejowania oraz upajającą magią władzy nad karierami, bogactwem i życiem ludzi. To może znacząco poszerzać ograniczenia psychiatryczne. Mimo to, również w sferze służb, ostatnie granice stawia psychopatologia.

Jak zawsze, ważną rolę zachowują wspólnoty religijne. Wśród kościołów, zdecydowanie dominować powinien katolicki, od zawsze globalny i ponadnarodowy. Niemalą też rolę powinien odgrywać islam, gdzieśkolwiek główna nadzieja odtrąconych, i oczywiście konfucjanizm, uosabiający, przynajmniej w globalnych prowincjach, *Chinese way of live*.

Co do wspólnot genetycznych, to dopóki Ludzkość nie zakwestionuje nieograniczonych praw własności i jej dziedziczenia, póki też nie poodziela wcześniej dzieci od rodziców, aby je poddawać władzy obcych nauczycieli oraz obcych doktryn, dominować powinny te same rodziny, co dziś. Jest to kilkadziesiąt do kilkuset większych rodów, mało znanych opinii publicznej, bo i zresztą po co, o pozycjach ustabilizowanych różnorodnymi tytułami, majątkami, monopolami, przywilejami, wzajemnie powiązanych, wyodrębniających się kulturowo i biologicznie, a kiedyś może nawet gatunkowo.

Niezależnie od nazw instytucji, ich form prawnych czy ulokowania siedzib, władcami zawsze będą jakieś byty wyposażone w inteligencję, a przynajmniej w instynkty i wolę. Raczej zbiorowe niż indywidualne i raczej trwalsze niż typowa spółka. Administracje pocztowe, służby wywiadowcze, armie, agencje informacyjne, banki – potrafią istnieć setki lat, niektóre monarchie, kościoły i rody – jeszcze dłużej. Ale istnieć, to za mało, by rządzić, to tylko przejaw zdolności przetrwania. Trzeba jeszcze mieć jakieś moce sprawcze i konsekwencję. W pierwszych przodują armie, w drugich kościoły, ale najlepiej połączyć je obie.

Długowieczni, sprawczy, konsekwentni – tacy powinni być globalni władcy. Portretowi temu najlepiej odpowiadają znane, trwałe i egoistyczne wspólnoty genetyczne oraz ideowe: wielkie rody arystokratyczne, wliczając bankierskie, kościoły, zwłaszcza katolicki, tajne stowarzyszenia, jak masoneria, i w końcu stare, wyemancypowane wywiady.

Nadmierny rozrost wspólnoty, genetycznej w kierunku plemienia czy ideowej w kierunku kultury, może niebezpiecznie rozmywać tożsamość i osłabiać egoizm. Nadmierna koncentracja też nie musi być korzystna, a często grozi degeneracją: biologiczna w kierunku chowu wsobnego, ideologiczna w kierunku sekciarstwa. Teoretycznie, połączenie w jednej wspólnocie dwóch rodzajów tożsamości, ideowej i genetycznej, powinno wzmacniać jej władzę. Praktycznie jednak, nie zawsze potwierdzałyby to burzliwe losy tego rodzaju dualistycznych wspólnot, jak Żydzi w czasach rozproszenia czy Kościół w czasach sprzed celibatu.

Jeżeli chodzi o personalia, tu sytuacja jest co do istoty jasna, lecz w szczegółach nader zagmatwana. Pozostają ogólniki i domysły, mniej lub bardziej trafne i raczej trudne do zweryfikowania. Jeśli zachować poznać skromność i zrezygnować z prób rozróżniania przewodnictwa od reprezentacji czy pasożytnictwa, wydaje się, że kandydatów na globalnych władców, obejmując tą kategorią wspólnie reżyserów, gwiazdy oraz bileterów teatru władzy, należy dziś szukać w takich oto grupach:

- wciąż potężniejszą arystokracją Nowego Świata, zwłaszcza wielkie rody bankierskie, operujące głównie poprzez instytucje zlokalizowane w USA;

- słabsze, lecz stabilnie osadzone, elity bankierskie Starego Świata, które nie przeniosły swych interesów do USA;
- nieco zdeglobalizowana, lecz nadal potężna stara arystokracja Europy, panująca nad tradycyjnymi instytucjami wpływu duchowego: wyznaniowymi, kulturalnymi, naukowymi, informacyjnymi, częściowo też finansowymi;
- nie całkiem samodzielna, ale coraz bardziej uznawana arystokracja Bliskiego Wschodu, panująca nad bogactwem i dążeniami świata islamu;
- odzyskująca wpływy arystokracja Azji, zwłaszcza maharadźowie i mandaryni, już osadzeni w nowej ekonomii, ale wciąż kontrolujący tradycyjne struktury wpływu i dominacji;
- nie wszędzie uznawana, ale potężna elita tajnych służb Rosji, panująca nad wielką częścią globalnych zasobów surowcowych i potencjału strategicznego.

Powyższy katalog z pewnością nie jest precyzyjny i nie musi być kompletny, prawdopodobnie jednak uwzględnia najważniejsze postacie dramatu, i wyraźnie zdaje się wskazywać na prawie całkowitą arystokratyzację globalnych władz.

Globalni bogowie

Najbardziej rozpowszechnione dziś kulty wolności – przyjmujące odmiany ekonomizmu, konsumeryzmu, liberalizmu i demokracji – powinny przejściowo zachować swoje zasięgi, jednak wpływy ich kapłanów, ulokowanych w instytucjach naukowych, oświatowych i medialnych, mogą – odwrotnie – dość szybko maleć, w miarę, jak dewocja będzie coraz głębiej penetrować język, kulturę i prawo. Idee tak ugruntowane, że pytania o alternatywę stają się absurdalne, nie potrzebują już kapłanów.

W dalszej perspektywie, w ogóle nie wydaje się konieczne, żeby globalna kultura musiała, czy nawet powinna się opierać na koncepcjach wolności, współgrających raczej z fazą pionierskiej ekspansji niż ze stanem nasycenia. Globalnej stabilizacji powinna sprzyjać bardziej perspektywa całościowa i kolektywna, eliminująca nadmierną dynamikę, równoważąca poziomy, kompensująca napięcia, raczej podporządkowująca perspektywę jednostkową – zbiorowej. Najbardziej zdaje się tu pasować konfucjanizm, choć i buddyzm, i taoizm też byłyby godne rozważenia, jako również powściągające nadmierny indywidualizm. Z nimi wszystkimi, szczególnie z taoizmem, może także współgrać lansowana ostatnio nowa religia ONZ: szamanizm ekologiczny... o ile będzie jeszcze potrzebna – i taka ideologia, i taka organizacja.

Nieco inaczej może być z religiami elit. Jedną z nich pozostanie zapewne judaizm, jak zawsze wyodrębniający swoich wyznawców, wskazujący im szczególne miejsce pośród obcych, których traktuje paternalistycznie, lecz zazwyczaj znośnie. O ile jednak, elity judaistyczne sprawdzają się w środowisku religii pokrewnych, jak chrześcijaństwo lub islam, to ich skuteczność w kontakcie z cywilizacjami starszymi i całkowicie obcymi, szczególnie chińską, jest raczej niepewna.

Inną religią elit może być, i chyba zresztą jest, oświeceniowy kult rozumu, zwłaszcza że staje się coraz mniej powszechny, kiedy masy pogrążają się w odmętach konsumpcyjnego pogaństwa. To by mogło prowadzić elity w stronę idei masońskich lub merytokratycznych. W

przypadku nieprzesadnej wiary w postęp, zwłaszcza te ostatnie byłyby zapewne zdolne do jakiejś syntezy z konfucjańskim biurokratyzmem, który się różni od nich głównie tym, że preferuje trwanie. Poza tym już, fetysze ma w większości te same.

IMAGINACJA

Urojenia i fantazje

Co może, a nawet powinno, być dla większości edukowanych osób zdumiewające, porządek świata, w znacznej części już ten współczesny, w jeszcze większej przyszły, jawi się jako wyraźnie arystokratyczny, z tendencją do kastowości, zbudowany na systemowym wyzysku, podpartym finansowymi fetyszami i demokratycznym bałwochwalstwem, dyskretnie i selektywnie wspierany przez przemoc i gwałt, zadawane skrycie i poza wszelkimi prawami przez różne służby.

Elity kulturowo i nawet biologicznie odrębne od mas, fałsz nauk społecznych, usłużność edukacji, fasadowość państw... Najczystsza teoria spisku, prawda? No, ale skoro już tyle razy, niedawne herezje uznawano za naukową prawdę, a stare dogmaty zaczynano uważać za psychozy, i leczyć, to jaką wagę i jaką trwałość ma dziś taki zarzut?

Opisana ewolucja zdaje się konsekwentnie zmierzać w kierunku wymóżdżenia, wywłaszczenia oraz zniewolenia większości ludzi. Planetarny system społeczny może się docelowo wypiętrzać nawet bardziej niż ten średniowieczny, bo choć ciemnota, nędza i poddaństwo ludu będą raczej mniej głębokie niż wtedy, to nowa arystokracja będzie się wynosić na wyżyny niepojęte, trudne do ogarnięcia wyobraźnią, a i liczebność elit może być mniejsza niż kiedykolwiek.

Czy taki proces musi być celowy? Z pewnością nie. Masowe media i powszechna edukacja samorzutnie obniżają poziom swój i poziom ludu, nawzajem ciągnąc się w dół. Wolny rynek w naturalny sposób prowadzi do koncentracji bogactwa, wydziedziczając ubogich i powiększając istniejące fortuny, podobnie też demokracja poddaje prawomyślnych i przyzwoitych obywateli władzy cynicznych demagogów, rozwarstwiając społeczeństwo na rządzących i rządzonych. To są procesy naturalne, co nie znaczy, że sprawiedliwe czy nieuniknione.

Zresztą, głównym problemem rodzącego się ładu, może być nie tyle nędzne położenie ludu, i nawet nie odczłowieczająca go indoktrynacja, zakrywająca jego upodlenie, lecz raczej rosnąca zbędność mas, coraz szerzej wykluczanych z gospodarki przez maszyny. Wkrótce, nieszczęściem ludu może być nie to, że ktoś go wyzyskuje lub otumania, lecz przeciwnie: to, że nikt go nie chce ani wyzyskiwać, ani otumaniać, ani nawet gwałcić. Lud może stać się po prostu zbędny.

Skądinąd, dość trudno wierzyć w przyszłość cywilizacji, dla której ludzie nie są dobrem, tylko obciążeniem. Chyba, że nie miałyby to być cywilizacja ludzi... Ale to znów science fiction. Czyżby już tylko fantastyka była w stanie opisywać rzeczywisty świat?

Bez rozumu

Ludzie nie są równi, zawsze ich można posortować według jakichś cech. Gdyby na przykład wszystkich ponumerować według wagi, wyróżni się grubasów. Czy jednak można mówić o ich jakimkolwiek uprzywilejowaniu w stosunku do reszty, nawet w czymś tak niby oczywistym, jak dostęp do jedzenia? Gdyby ważyć ludzi przez sto lat, pewnie się okaże, że dzieci grubasów są zazwyczaj także grube. Czy zatem oznacza to jakąś pokarmową znowę kosztem głodujących mas? Raczej nie, do wyjaśnienia tego wystarcza zwykle dziedziczenie. Podobnie mogą się dziedziczyć inne cechy, jak inteligencja, chciwość czy skłonność do dominacji. Niektórzy ludzie i niektóre rodziny mogą zajmować uprzywilejowaną pozycję nie w wyniku spisków, lecz dzięki genom albo wychowaniu, które pomagają im wygrywać gry o to, co akurat lubią: autorytet, majątek, władzę... zresztą, jedzenie też.

Życie społeczne to raczej nierówna gra, chociaż niekoniecznie ustawiona, bo niesprawiedliwość nie musi mieć sprawcy. Typowa giełda, nawet bez nadużyć i bez nierównego dostępu do informacji, transferuje bogactwo od mniejszych do większych graczy, znaczy: od biedniejszych do bogatszych. Podobnie, wolny rynek Smitha, gdy go nie pilnować, prowadzi do koncentracji majątku, i kończy się oligopolem albo monopolem. Jest to proces samorzutny, który nie wymaga spisków ani porozumień, przeciwnie, to jego powstrzymywanie potrzebuje świadomych i konsekwentnych działań antymonopolowych.

Inteligencja jest ważną i wyróżniającą człowieka cechą, ale chyba przecenianą, jeśli chodzi o znaczenie w makroskali. Do ukształtowania ogólnego, a nawet ogólnoludzkiego ładu, nie jest konieczny wielki rozum. Może nawet wystarczyć sam instynkt rywalizacji i dominacji, zdolny sortować ludzi także wtedy, kiedy każdy widzi tylko najbliższe, chwilowe otoczenie i w nim zajmuje najlepszą w jego rozumieniu pozycję. Wtedy całościowo, bez niczyjzego planu, może się utworzyć planetarny porządek dziobania. Niejako sam z siebie.

Czy miałyby to znaczyć, że wielki system może istnieć bez świadomych władz? Bez wątplenia, może. Czy znaczyłoby to, że globalizacja nie musi mieć sprawców? Może i nie musi. A beneficjentów? A tych to już musi, bo nawet zjawiska naturalne sprzyjają jednym bardziej niż drugim. Nieurodzaj premiuje tego, kto ma pełne magazyny, powódź – tego, kto mieszka na górze, ostra zima – tego, kto ma tani opał. Cokolwiek się dzieje w tej największej grze, zawsze ktoś wygrywa. Nawet, jeśli nie gra, a mówiąc precyzyjniej, nie wie, że gra. Taka to gra.

Jedno zjawisko zdaje się wymagać planu, a nawet znowy, choć i tutaj może, a przynajmniej mógł kiedyś zadziałać dobór, niczym w ewolucji. Jest to system pieniężny świata, konstytuujący coś w rodzaju kamienia filozoficznego. Dawni alchemicy przez tysiąclecia poszukiwali recepty na zamianę pospolitych pierwiastków w złoto, dzisiejsi bankierzy po prostu ją zadekretowali. Drukując liczby na papierze, każą wierzyć innym, że są one równoważne złotu, a przedstawiając bity na dysku, każą ludziom oddawać majątki, rzekomo powiązane z tym porządkiem elektronów.

Bankierzy to chyba jedyna elita, której pozycja zdaje się wymagać przebiegłej i konsekwentnej znowy. Pozostałe elity mogą działać nieświadomie i bez planu, chociaż oczywiście nie muszą. Zaznaczyć przy tym należy, że spisku nie wymaga sama wiara w pieniądź, ten zawsze był tylko opartym na wierze symbolem, a często powstawał samorzutnie. Spisek jest potrzebny raczej dla podtrzymywania, kamuflażu i ochrony prawnej monopolu

kilkunastu rodzin na kreację pieniądza, przynoszącą im gigantyczne i nieuzasadnione niczym – oprócz właśnie spisku – zyski.

Sprawcy ewolucji

Gdyby istniał sprawca opisanych procesów, to może, aby je powstrzymać, wystarczyłoby go zabić. Czy jednak ktoś taki istnieje? Czy w ogóle musi istnieć? Według prawa rzymskiego, winien jest zwykle ten, kto odnosi korzyść. To jednak dotyczy tylko działań zamierzonych. Sprawca wypadku może być i winien, i zarazem martwy, a to przecież dość wątpliwa korzyść. Ewolucja ma i będzie mieć jakichś beneficjentów, ale nie musi mieć sprawców, może przebiegać całkiem samorzutnie. Tym bardziej zresztą warto ją rozumieć.

Znane nam mechanizmy ewolucji opierają się na doborze. To takie zawody na dostosowanie, w których nagrodą jest reprodukcja, mnożąca tych, którzy dziedziczą zwycięskie cechy. Ponieważ, dla różnych form władzy, dobór mógłby selekcionować odmienne właściwości, łatwiej będzie zbadać, zamiast przyczyn, skutki, czyli nie *dłaczego*, ale *co* podlega dziedziczeniu. Geny? Oczywiście, wszak definiują one wiele cech osobniczych, decydujących o sukcesie. Klasa społeczna? Również, choć ta nie jest teraz dziedziczona formalnie, to realnie zwykła się reprodukować. Majątek? Jak najbardziej, chociaż ten z kolei, mimo że jest dziedziczony prawnie, to nie zawsze faktycznie, bo spadkobiercy mogą go roztrwonić.

Doborowi podlegałyby zatem rodziny, klasy społeczne i majątki. W ten sposób, splatałyby się biologia, kultura i ekonomia, tworząc wspólną podstawę dla różnych form władzy. Czy taka ewolucja dałaby się powstrzymać? Teoretycznie, tak. Można łatwo zakwestionować dziedziczenie pozycji społecznej i własności, robiły to już różne rewolucje i wojny. Jak jednak twierdzi Braudel, utracona pozycja zwykle odbudowuje się. Badając księgi wieczyste dawnej Europy, odkrył on, że o ile bezpośrednio po rewolucjach większość nieruchomości przechodzi w ręce nowych właścicieli, to już po upływie pokolenia ci nowi stanowią tylko mały ułamek posiadaczy, bo dawni właściciele lub ich potomkowie odzyskują utraconą własność – majątki zdają się jakoś do nich przywiązywać. Problem ten może wprawdzie rozwiązać częste ponawianie rewolucji czy wojen, ale to by mogło stwarzać inne, kto wie, czy nie jeszcze większe problemy.

Kontrolując rozród, można także przerwać dziedziczenie biologiczne, a jeszcze łatwiej przeciąć dziedzictwo społeczne i ekonomiczne, po prostu odbierając dzieci rodzicom. Przykładów kontroli rozrodu dostarcza celibat oraz kastracja, tworzące szczególne i raczej stabilne kasty księży lub eunuchów. Jeśli chodzi o wychowywanie dzieci poza rodzinami, po to chętnie sięgano w dziejach, zwłaszcza dla wytwarzania fanatyków, ale ani różne przykłady historyczne, ani dzisiejsze domy dziecka, nie dostarczają tu budujących przykładów.

Przy osiągnięciu granic pojemności środowiska, i tak pewnie będzie trzeba zakwestionować nieograniczoną własność oraz jej proste dziedziczenie, bo to prowadzi nieuchronnie do całkowitego wywłaszczenia mas, co w końcu będzie trudno kamuflować czy usprawiedliwiać. W miarę zanurzania się w sieci i delokalizowania więzi społecznych, samoistne dziedziczenie pozycji społecznej powinno się zmniejszać, bo ludzi może dywersyfikować bardziej wykształcenie niż pochodzenie. Tym ważniejsza zresztą byłaby rola oświaty i tym bardziej musi zasmucać jej dzisiejsza degeneracja. To jednak jest do przełamania, zwłaszcza dzięki telenauce, które na razie skutecznie powstrzymują zagrożeni utratą pracy i autorytetu nauczyciele, ale w sieci może się ono rozwinąć samorzutnie.

Pozostaje dziedziczenie biologiczne, najbardziej naturalne i stosunkowo najodporniejsze na społeczne eksperymenty. Tu jednak wiele zmieni technologia, zwłaszcza inżynieria genetyczna, która może nawet spowodować, że na własne życzenie ambitnych rodziców, dzieci przestaną być ich biologicznymi potomkami – wskutek uszlachetniania genotypów.

Wydaje się zatem, że przerwanie obecnych mechanizmów ewolucji społecznej jest nie tylko możliwe, ale wysoce prawdopodobne i nawet powinno zajść samorzutnie. Tylko w jakiej fazie?

Rehumanizacja człowieka

Monokultury są z natury nietrwałe. Niestabilność nowego modelu władz i społeczeństwa wydaje się w dłuższym horyzoncie bezdyskusyjna, zresztą, przecież w wystarczająco długiej perspektywie nic nie jest trwałe. Jednak już marne sto lat to dla większości z nas wieczność i raczej słaba to pociecha, że w sto pierwszym roku miałyby nastąpić istotna poprawa, prawda?

Czy skutki zapowiadanych zmian będą odwracalne? Raczej wątpię, choć to trochę zależy od tego, jak daleko zajdą. Nie taki jest przedmiot tego studium, więc tylko napomknę, co już wielokrotnie pisałem w różnych pracach, że według mnie, dominująca dziś cywilizacja oświeceniowa czy postoświeceniowa, europejska czy euroamerykańska, zachodnia czy północna, chrześcijańska czy judeochrześcijańska, obojętne, jak jeszcze ktoś chciałby ją nazywać, w każdym razie, chodzi o tę naszą, weszła na ścieżkę rozwoju w kierunku cyborgizacji ludzi, potem hybrydyzacji ludzi z maszynami, a w końcu pewnie postępującej redukcji składnika biologicznego. Podobny los może czekać, jak sądzę, jednostkowe umysły, gdy w równoległym procesie, inteligencję indywidualną zastępować będzie inteligencja zbiorowa. Oczywiście, procesy te nie muszą dojść do samego końca, ale już we wczesnych etapach mogą stać się nieodwracalne. O ileż łatwiejszy, a przecież już praktycznie niemożliwy, byłby dla nas, dziś żyjących, zwykły powrót do natury, prawda?

Opisana ewolucja falsyfikuje ideały oświeceniowe. Znosi demokrację, równość, wolność, własność, wydziedzicza masy i prawie deifikuje elity. Czy to jest w ogóle możliwe? A jeśli możliwe, to czy konieczne? Wątpię, ale na razie w takim zmierzamy kierunku. Im dłużej pozostajemy tego nieświadomi, tym dalej to może zajść. Sama zresztą świadomość też raczej niewiele pomoże, najwyżej złagodzi przebieg oraz skutki zmian. Ale też zwiększy frustrację. Cóż, nie tylko kij ma dwa końce.

Pokojowe zakończenie opisanych procesów wydaje się niemożliwe, bo po pierwsze, przerwać je może tylko wielki wstrząs, co najmniej porównywalna z wojną katastrofa, a po drugie, nawet gdyby się miały samorzutnie wyczerpać, to przecież też trudno oczekiwać, że runą bez zniszczeń. Jakoś nie widać pokojowej ścieżki rehumanizacji. Zresztą, na dzisiejszych mapach, nie widać jej żadnej. Co nie znaczy, że nie istnieje.

...

Moja praca wynika z wieloletnich studiów, rozmyślań, dyskusji, jest konsekwencją dość uporządkowanych wcześniejszych rozważań, zazwyczaj publikowanych samodzielnie lub w periodykach, także naukowych, pozostaje jednak wizją, opartą na fragmentarycznej wiedzy o teraźniejszości oraz na intuicjach co do przyszłości. Nie jest pracą naukową, nie jest też prorocstwem, ale także nie jest fikcją literacką. Nawet nie do końca stanowi prognozę, bo opisuje bardziej teraźniejszość niż przyszłość, tyle że tę teraźniejszość rozpakowuje z reklam, zaklęć i sloganów, w jakich jest zazwyczaj serwowana.

Hipotezy tu wyrażone badam i weryfikuję od lat, nie przyjmując bezkrytycznie oficjalnych i uznanych źródeł, nie odrzucając też a priori prac niepoprawnych albo potępianych. Owszem, odsiewam głuptactwa, ale na równi ludowe z rządowymi albo naukowymi; zawsze nieufny tam, gdzie ujawniają się przesady, stronniczość, bezkrytycyzm czy nieuctwo. Mimo, że starałem się w tej pracy wykazać maksymalną rzetelnością i nie ulegać uprzedzeniom albo urojeniom – oczywiście, mogę się mylić. Nawet chciałbym.

2010

*Marek Chlebuś: Globalizacja władzy, Przyszłość. Świat – Europa – Polska, Nr 2/22,
Warszawa 2010*

MCH